



Wyprawa do Hogsmeade

Harry'emu zrobiło się ciemno przed oczami. Łapczywie nabierał hausty powietrza do płuc, próbując podnieść się z łóżka. Gdy udało mu się przysiąść na jego krawędzi, pospiesznie przetarł oczy dłońmi. Dostrzegł przed sobą Gburka. Skrzat przyglądał mu się z zatroskaną miną. Cały dygotał. Lewą rękę miał wyciągniętą ku czarnej plamie, która chaotycznie poruszała się po kamiennej posadzce.

— Co to za paskudztwo? — spytał Harry, gdy jego oddech na powrót stał się miarowy i spokojny. — Skąd to się tu wzięło?!

— Gburek nie ma pojęcia! — jęknął skrzat. Ciemna plama wiła się po kamiennej posadzce, usiłując wyzwolić się spod wpływu czarów skrzata. Harry wstał z łóżka i zbliżył się do niej powoli, przecierając chusteczką spocone czoło.

— Wygląda na to, że to jest żywy całun — stwierdził zdumiony. — Ale one występują tylko w tropikalnym klimacie. Ktoś musiał go tu celowo sprowadzić.

Skrzat jęknął z przerażenia.

— Kto mógłby chcieć skrzywdzić Harry'ego Pottera?! — za-

pytał, wzdrygając się samą myślą o tak strasznej zbrodni. — Ta... to coś... ten czarny pelerynek... o mało Po Prostu Harry'ego nie zadusił!

Harry westchnął. Wstał na równe nogi, rozmasowując swój zbolwały kark. Machnął energicznie różdżką, a wokół śmierciotuli pojawiły się metalowe pręty, które połączyły się ze sobą, tworząc solidną klatkę. Skrzat z nieskrywaną ulgą opuścił dłoń.

— Żywy całun, zwany też śmierciotulą, jest bardzo niebezpiecznym stworzeniem — oznajmił Harry takim tonem jakby prowadził jedną ze swoich lekcji. — w klasyfikacji ministerstwa otrzymał piąty, najwyższy stopień. Jego posiadanie, lub sprowadzanie jest nielegalne. Komuś bardzo musiało zależeć, żeby się mnie pozbyć.

Skrzat jęknął coś pod nosem. Nadal dygotał. Harry obdarzył go ciepłym, pełnym wdzięczności spojrzeniem.

— Żyję tylko dzięki tobie, Gburku — oznajmił, podając mu rękę. — Wykazałeś się wielką odwagą. Dziękuję ci. Jestem twoim dłużnikiem.

Skrzat niepewnie uścisnął dłoń Harry'go. Był wyraźnie zdumiony i zmieszany. Harry pomyślał, że zapewne nieczęsto doświadczał w swoim życiu wdzięczności czarodziejów.

Aby uniknąć paniki wśród nauczycieli i uczniów, Harry postanowił nie rozgłaszać zajścia w swoim gabinecie. Zdecydował, że pokaże śmierciotulę jedynie Monaghanowi i Neville'owi. Kiedy obaj dokładnie przyjrzeni się zawartości klatki, byli wyraźnie wstrząśnięci. Neville opadł zszokowany na łóżko. Monaghan zdawał się nad czymś głęboko zastanawiać.

— Powinieneś ją wysłać do Departamentu Kontroli nad Magicznymi Stworzeniami — stwierdził po chwili zadumy.

— Już się skontaktowałem z Mazepem z Wydziału Zwierząt — wyjaśnił natychmiast Harry. — Jutro mają tutaj kogoś podeśłać.

— Kto, u licha, mógł sprowadzić do zamku tak niebezpieczną bestię?! — oburzył się Neville. — Przecież gdyby wymknęła się spod kontroli, to w ciągu jednej nocy mogłaby zabić kilkunastu niewinnych uczniów!

Monaghan zaśmiał się ponuro.

— Obawiam się, że dla osoby, która chce się pozbyć Harry'ego nie ma to najmniejszego znaczenia — oznajmił gorzkim tonem. — Bardziej troszczy się o własną skórę niż uczniów, którymi ma się opiekować!

Harry i Neville obdarzyli czarodzieja zdumionymi spojrzeniami.

— Co masz na myśli, Sean? — zapytał Harry.

— Przecież to oczywiste, że żywy całun podrzuciła do twojego gabinetu osoba, która obawia się zdemaskowania — wyjaśnił czarodziej. — Zapewne stoi za tym któryś z naszych podejrzanych.

— To całkiem możliwe — przyznał Harry. — Gdybym kierował się osobistą niechęcią, jako pierwszego podejrzewałbym Sylasa Wilkie.

— Ja także — odrzekł z przekonaniem Monaghan. — Słynie z tego, że latem lubi podróżować po świecie. Podobno ma krewnych w Nowej Gwinei. Tam śmierciotule są dość powszechne.

— Myślę, że powinniśmy poinformować o wszystkim dyrektora — stwierdził po chwili namysłu Neville. — Musi wiedzieć, co się dzieje w szkole.

— Fokster pała do mnie dużo większą nienawiścią niż Sylas Wilkie — stwierdził cierpko Harry. — Fakt, że uniknąłem cudem śmierci z pewnością, by go głęboko zasmucił.

Zapanowało niezręczne milczenie.

— Nie ma potrzeby wtajemniczać w to kogokolwiek — stwierdził w końcu Monaghan. — Ministerstwo jutro zabierze bestię. Zamiast tracić czas na roztrząsanie sprawy skupmy się na

śledzeniu naszych obiektów. — Harry i Neville pokiwali twierdząco głowami.

Rankiem następnego dnia pracownik ministerstwa zabrał klatkę z żywym całunem, a Harry powrócił do swoich codziennych zajęć. Przez kilka dni nadal narzekał na brak wolnego czasu. Podczas lekcji kilkakrotnie zdarzało mu się zasypiać. Noce spędzał głównie na czuwaniu przy gabinetach podejrzanych lub patrolowaniu korytarzy. Nie przynosiło to jednak pożądaných efektów, ponieważ żaden z obiektów nie opuszczał swojego gabinetu po zmroku.

— Och, Harry! Wyglądasz paskudnie — stwierdziła Lisa, kiedy któregoś popołudnia wpadła do pokoju nauczycielskiego, w przerwie między swoimi lekcjami i zastała Harry'ego śpiącego pośród stosów ksiąg. — Padma Drake z mojego domu widziała cię dziś jak szedłeś z zamkniętymi oczami i wpadłeś na posąg Garbatej Wiedźmy.

Harry wyglądał z zakłopotaniem włosy. Zawstydzony, nie potrafił spojrzeć na Lisę.

— Mam dużo zajęć i obowiązków — wymamrotał nieśmiało. — Mało sypiam.

— To może czas, aby część twoich obowiązków przekazać komuś innemu — stwierdziła stanowczo Lisa, podchodząc do niego na wyciągnięcie ręki. — Martwię się o ciebie.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Harry poczuł cudowną woń lawendy i zapachu świeżej trawy. Spojrzał nieśmiało w jej oczy. Były takie piękne i nieprzeniknione. Już miał coś do niej powiedzieć, kiedy do pokoju wparowała Meropa Bloomenbach, rzucając z impetem stos ksiąg na stół.

— Och! Przepraszam! Chyba wam w czymś przeszkodziłam?! — zawołała złośliwym tonem, zerkając podejrzliwie to na Harry'ego, to na Lisę.

— Ależ skąd! — zawołali równocześnie, niezbyt przekonują-

cym tonem. Harry natychmiast spłonął rumieńcem.

— Właśnie widzę — wycedziła Meropa i wyraźnie zachwycona opuściła pokój nauczycielski.

Harry, darząc Lisę szczerą sympatią, wziął sobie jej słowa do serca. Podczas kolejnego treningu Gryfonów oznajmił Bernsowi, że nie będzie dłużej uczestniczyć w szkoleniu drużyny. Kapitan początkowo nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Harry był jednak stanowczy i nieugięty. Tego samego wieczoru poprosił także Neville'a, by na jakiś czas zastąpił go w Klubie Pojedynków. Zyskując w ten sposób kilka wolnych wieczorów, mógł wreszcie wypocząć i skupić się na śledztwie.

Nadal nie było wiadomo, kto wypalił pentagram na ścianie korytarza, ani co ten symbol może tak naprawdę oznaczać. Hermione skontaktowała się z nim poprzez sieć Fiuu tylko po to, by powiedzieć mu, że nie znalazła niczego wartego uwagi. Harry był załamany. Liczył, że niezawodna przyjaciółka pomoże mu ruszyć śledztwo, które utkwilo w martwym punkcie. Mimo upływu kilku miesięcy, Harry nie był choćby o krok bliżej schwytania mordercy Flitwicka, a w końcu w tym celu porzucił swoje dotychczasowe życie i przybył do Hogwartu.

W połowie lutego zaplanowano kolejny wypad uczniów do Hogsmeade. Harry dowiedział się od Slughorna, że Meropa ma zastąpić Sylasa Wilkie i towarzyszyć Ślizgonom podczas wyprawy do wioski.

— Ja zostanę w zamku i będę pilnował Sylasa — zaproponował Monaghan, kiedy Harry poinformował go o wszystkim. — Ty idź do wioski. To świetna okazja, aby przekonać się, czy Meropa faktycznie jest pijawką, która zaatakowała twojego syna.

— A niby jak mam się o tym przekonać? — zdumiał się Harry.

— To proste. Uczniowie udadzą się do wioski dopiero o trze-

ciej — stwierdził z entuzjazmem Monaghan. — Zanim zdołają wrócić do zamku z pewnością zrobi się już ciemno.

— Racja! — zawołał uradowany Harry. — Meropa nie zdoła ukryć swojej przemiany!

W sobotni poranek w Hogwarcie panowała wesola atmosfera. Podczas śniadania w Wielkiej Sali uczniowie wesoło dyskutowali o wypadzie do wioski, oraz o atrakcjach jakie tam na nich czekają. Wśród rozmów często pojawiały się wzmianki o nowym sklepie. „Niesłychane wynalazki Arnolda Freaksa” cieszyły się szczególnym zainteresowaniem wśród chłopców. James i Fred od kilku tygodni nie mogli doczekać się wizyty w tym miejscu. Planowali ją w najdrobniejszych szczegółach, licząc, że Harry zabierze ich do Hogsmeade.

Podczas śniadania w Wielkiej Sali Harry nawet przez chwilę nie pomyślał jednak o zabraniu ze sobą synów. Był zbyt pochłonięty obserwowaniem Meropy. Czarownica kreśliła coś zawzięcie na pergaminie, od czasu do czasu popijając sok z dyni. Kiedy na chwilę uniosła głowę i spostrzegła jego ukradkowe spojrzenia, wyraźnie się zmieszala.

Tuż przed trzecią uczniowie stłoczyli się na dziedzińcu. Panował wesoły gwar. Z nieba sypały olbrzymie płatki śniegu. Widoczność była kiepska. Kiedy Harry narzucił na siebie płaszcz wyjściowy, opatulił się grubym szalem i zszedł na dół, Filch kończył sprawdzać listę obecności.

— Wujku, wyglądasz jakby ci ktoś podsunął pod nos łajnobombę — stwierdziła z troską Wiktoria, wylaniając się ze szkarłatnego tłumu. — Coś się stało?

Harry westchnął. Miał ponurą minę.

— James i Fred nalegali żebym zabrał ich do Hogsmeade — stwierdził ze złością. — Powiedziałem, że mam coś do załatwienia i tym razem nie mogą mi towarzyszyć. Obrazili się na mnie.

— Założę się, że James jest wściekły — zawołała z rozbawie-

niem Wiktoria i szybko dodała karcącym tonem. — Moim zdaniem, to i tak nie było zbyt fair, że ich zabierałeś do Hogsmeade, wujku. Nie są jeszcze na trzecim roku. Ich rówieśnicy też nie mogą odwiedzać wioski.

Harry zalał się rumieńcem. Wiktoria słynęła z tego, że zawsze była bardzo bezpośrednia i mówiła to, co myśli. Często wprowadzała przez to swojego wujka w zakłopotanie.

Kiedy sznur uczniów ruszył w kierunku Hogsmeade, Harry dostrzegł Meropę maszerującą na czele Ślizgonów. Śnieg zaczął tak intensywnie, że była ledwo widoczna. Wszyscy brodzili w zaspach śnieżnych, rozmawiając przy tym wesoło. Gdy kwadrans później wreszcie minęli stację kolejową, a w oddali zaczęły majaczyć stare chaty pokryte śnieżnym puchem, rozległy się okrzyki zadowolenia. Nareszcie dotarli na miejsce. Uczniowie momentalnie rozpierzchli się po wiosce, znikając w bocznych uliczkach lub za drzwiami sklepów.

Harry zaczął nerwowo rozglądać się za swoim obiektem. Z poirytowaniem stwierdził, że ulica główna jest pusta. Meropa gdzieś zniknęła. Widocznie zdołała wejść do któregoś ze sklepów, zanim to zauważył. Gorączkowo zastanawiając się co dalej, Harry postanowił zajrzeć do pubu Pod Trzema Miotłami. W końcu gospoda była najbliżej, a Meropa podobno lubiła poplotkować z Madame Rosmertą. Gdy przekroczył próg gospody, fala gorącego powietrza nieomal zwała go z nóg. W środku było bardzo tłoczno, hałaśliwie i mglisto. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Harry natomiast w olbrzymim skupieniu rozglądał się po klientach karczmy. Wśród wielu obcych twarzy wypatrzył kilka wiedźm, lypiących na niego groźnie, dwóch krasnoludów, pokazujących mu środkowy palec, i cztery gobliny o nieprzyjemnych wyrazach twarzy, stłoczone wokół stolika w kącie gospody. Nigdzie nie było jednak Meropy.

— Witaj, Harry — powitała go Rosmerta, kiedy podszedł do

baru i poprosił o kufel piwa kremowego. — Zdaje mi się, czy ty kogoś szukasz? — spytała nalewając trunek. Harry chwycił kufel piwa, rzucił barmance trzy sykle i westchnął.

— Miałem nadzieję, że zastanę tutaj Meropę Bloomenbach — odpowiedział, przelękając piwo. — Chciałem z nią o czymś porozmawiać.

Rosmerta spochmurniała. Podniosła przybrudzoną szklanicę i zaczęła zawzięcie ją polerować. Wyglądała jakby miała zaraz eksplodować.

— Meropy już raczej tutaj nie spotkasz — stwierdziła ze złością. — Po tym, jak połamałam moją miotłę na jej głowie, zrozumiała doskonale, że nie jest tu mile widziana.

Harry o mało nie zachłysnął się piwem.

— Połamałaś jej miotłę na głowie?! — powtórzył, parskając śmiechem. — A co ci zrobiła?

— Nie chcę o tym rozmawiać! — warknęła Rosmerta, spoglądając ponad głową Harry'ego w kierunku drzwi wejściowych. — Słyszałam, że wampir z Hogsmeade zaatakował twojego syna? — spytała nieco łagodniejszym tonem.

— Tak. To prawda — odrzekł Harry, popijając piwo. — Na szczęście jego życie nie jest zagrożone. I dzięki specjalnemu eliksировi nie stanowi też zagrożenia dla innych.

— Mam nadzieję — odpowiedziała barmanka, z niepokojem spoglądając w kierunku drzwi. — Nie chciałabym, żeby mi poturbował któregoś z klientów. No... może za wyjątkiem tych goblinów...

— Bez obaw. James nie ma jeszcze trzynastu lat. Nie może chodzić do Hogsmeade — wyjaśnił Harry.

— Doprawdy? — spytała z ironią Rosmerta i wyraźnie rozbowiona dodała. — Lepiej spójrz za siebie.

Harry odstawił kufel piwa. Okręcił się na taborecie i spojrzał w kierunku drzwi. Dostrzegł dwóch młodzieńców, którzy wła-

śnie weszli do gospody i otrzepywali płaszcze ze śniegu.

— James! Fred! — zawołał, czując narastającą wściekłość. — Co wy tu, do cholery, robicie?!

Chłopcy zbaranieli na jego widok. James spłonął rumieńcem. Fred wyszczerzył zęby i nerwowo zachichotał. Zanim Harry zdołał zeskoczyć z taboretu, obaj wybiegli z gospody.

— Mogłem się tego spodziewać! — syknął do Rosmerty i ruszył pędem za nimi. Kiedy wybiegł na główną ulicę, z nieba wciąż spadały wielkie płatki śniegu. Wiał lodowaty wiatr. Wściekłość rozpalala go jednak tak bardzo, że nie odczuwał zimna. Choć widoczność była kiepska, dostrzegł chłopców biegnących w głąb wioski. Zaczął ich gonić, wpadając co chwilę, na zdegrutowanych tym faktem, przechodniów. Kiedy dotarł pod sklep odzieżowy Gladraga, dostrzegł Jamesa i Freda, wchodzących do Derwisza i Bangesa.

— Mam was, lotry — wyszeptał i już miał wbiec do sklepu, kiedy zauważył coś interesującego. W boczną uliczkę, prowadzącą do pubu Pod Świńskim Łbem, skręcała właśnie Meropa Bloomenbach. Maszerując zaśnieżoną uliczką, zerknęła nerwowo na zegarek. Zupełnie jakby gdzieś się spieszyła. Musiała być już spóźniona, bo nagle przyspieszyła kroku. Harry od razu pomyślał, że upewniała się, czy zdąży opuścić wioskę przed zmrokiem. Nie zwlekając ani chwili dłużej, pospiesznie ruszył za nią. Ci nicponie mogą poczekać. To jest ważniejsze — pomyślał, czując narastającą ekscytację. Meropa tym czasem pewnym krokiem zmierzała w kierunku gospody Aberfortha Dumbledore'a. Gdy zniknęła za jej drzwiami, Harry ruszył pędem. Podszedł do okna w wykuszu i wlepił nos w szybę. Szkło było jednak tak brudne, że nic nie dało się przez nią zobaczyć. Z wnętrza gospody dochodził gwar.

Harry postanowił zaryzykować i nie zwlekając ani chwili dłużej, wszedł do środka. Poczul podmuch ciepłego powietrza. Cu-

chnęło stęchlizną. Obskurna i brudna karczma pełna była podejrzanej klienteli. Kilku goblinów z licznymi bliznami na twarzy; trzy wiedźmy, jedna brzydsza od drugiej. Pod przeciwległym oknem siedział samotnie mężczyzna, owinięty brudnymi bandażami. Sączył piwo, wpatrując się w Harry'ego. Tuż obok niego, przy topornie ciosanym stole siedziała Meropa. Na szczęście nie zauważyła Harry'ego. Była zbyt pochłonięta konspiracyjną rozmową ze szczupłą czarownicą o wydatnej szczęce i ciasno splecionych w kok włosach. Pomiedzy nimi na stole leżał duży notes, po którym zawzięcie kreśliło jadowicie zielone, magiczne pióro. Harry natychmiast domyślił się, do kogo należały.

— Rita Skeeter! — warknął ze złością. Kiedy po raz ostatni ją widział, wścibska reporterka Proroka Codziennego rozdawała autografy przy okazji premiery swojej nowej książki. Zawarła w niej stek bzdur i niedorzeczności wyssanych z palca, które miały przedstawiać rzekomo prawdziwy obraz dzieciństwa Harry'ego. Było w niej wiele nawiązań do głośnej biografii Albusa Dumbledore'a, którą napisała przed laty.

— Siemasz, Potter — zawołał Aberforth Dumbledore, wychodząc zza baru. — Coś ci podać?

Harry zbliżył się do niego, zerkając ukradkiem w kierunku czarownic. Próbował wychwycić, o czym mogą rozmawiać. W karczmie panował jednak zbyt duży gwar. Zapewne Rita Skeeter celowo wybrała to miejsce na spotkanie.

— Często ją tu widzisz? — zapytał Harry, ignorując pytanie barmana i wskazując głową na reporterkę.

— Mówisz o tej wrednej babie w binoklach? — burknął Ab. — Ta... regularnie tu przyłazi... Zawsze jest z nią ta druga...

— Słyszałeś może, o czym rozmawiają podczas tych spotkań? — zapytał Harry, zerkając w ich stronę. — Skeeter zbiera informacje do jakiejś nowej książki?

— Nic nie słyszałem — odrzekł Aberforth, spoglądając z od-

razą w kierunku czarownic. — Ta z piórem za każdym razem wymachuje różdżką zanim klapnie na zadzie... Willy... znaczy ten gościu w bandażach... zawsze siedzi tuż obok i nigdy nie słyszał ani słowa z ich pogaduszek... Gadał, że brzęczy mu w uszach jak tylko ta baba się pojawi...

— Muffliato — mruknął Harry po chwili zastanowienia.

— Coś ci podać? — spytał ponownie Ab, wyraźnie zniecierpliwiony. Nim Harry zdołał jednak odpowiedzieć, chwiejnym krokiem podszedł do niego jakiś barczysty krasnolud z podbitym okiem i siarczyście klepnął go w ramię.

— TYŚ POTTER, NIE?! — ryknął donośnie, tracąc równowagę i runął na pobliski stół rozlewając kufle z piwem. Harry obawiając się, że Meropa lub Rita mogą go zauważyć, pospiesznie wymknął się z gospody. W tym samym momencie przez jedno z okien wyleciało krzesło, roztrzaskując szybę w drobny mak. Harry postanowił poczekać na Meropę przed gospodą. Zwłaszcza, że z za drzwi wciąż dochodził rumor, wyzwiska i odgłosy bijatyki. Te więdźmy z pewnością długo tam nie posiedzą, pomyślał.

Stojąc pośród zasp śnieżnych, w myślach odliczał minuty. Po kwadransie odgłosy szarpaniny i mordobicia ucichły. Czarownice wciąż nie wychodziły. Harry czekał zniecierpliwiony, przecierając zmarznięte dłonie. Co chwilę zerkał przez wybite okno do wnętrza izby. Pióro Rity nadal zawzięcie muskało pergamin. Meropa odczytywała coś ze swoich notatek. Harry mógłby przysiąc, że miała ze sobą te same pergaminy, które widział rankiem w Wielkiej Sali.

— Co ty tu robisz, Harry? — rozległ się aksamitny głos z za jego pleców, który nieomal przyprawił go o zawał serca. Obrócił się gwałtownie. Pośrodku drogi stała Lisa. Miała na sobie brązowy kożuch, sięgający jej do kolan. Głowę okryła grubą, wełnianą czapą z dwoma pomponami. Jej twarz była śnieżnobiała, usta ja-

dowicie czerwone, a oczy wielkie jak galeony. Wyglądała wyjątkowo pięknie. Na jej twarzy malował się uroczy grymas zdumienia.

— Lisa! — zawołał zmieszany. — Szukałem ciebie — skłamał, nie mogąc wymyślić innego wytłumaczenia. — Zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty napić się ze mną herbaty?

Tak żalosna wymówka nie mogła być zbyt przekonywująca. Lisę uradowała jednak propozycja Harry'ego, więc o nic już nie pytała.

— Och, świetnie. Znam cudowne miejsce. Tutaj niedaleko.

Harry domyślił się, że chodzi zapewne o herbaciarnię pani Puddifoot, ale nie miał śmiałości zaprotestować. Ruszyli w kierunku głównej ulicy. Lisa opowiadała mu o nawale zajęć, oraz przygotowaniach drużyny Krukonów do meczu z Puchonami. Kiedy dotarli na miejsce, oczom Harry'ego ukazał się ciasny i zaparowany lokalik, przystrojony kokardkami i falbankami. Od razu skojarzył mu się z gabinetem Dolores Umbridge. Z trudem powstrzymał odruchy wymiotne.

— Co podać, kochani? — zaćwierkała słodkim głosem tęga czarownica z lśniącym czarnym kokiem, spoglądając na Harry'ego maślanymi oczami. — Może życzyście sobie serenadę zakochanych?

Wskazała na skrzata przebranego za kupidyna, który skończył właśnie grać na skrzypcach parze przy sąsiednim stoliku.

— Och, nie! — jęknął z zakłopotaniem Harry. — My nie...

— Nie jesteśmy parą — zapewniła pospiesznie Lisa, odwracając wzrok od Harry'ego. Pani Puddifoot nie sprawiała wrażenia zbyt przekonanej.

— Jestem żonaty — stwierdził Harry, wskazując na obrączkę na swoim palcu — Widzi pani?

Tęga czarownica zmierzyła go pełnym oburzenia spojrzeniem, które następnie przeniosła na Lisę. Wyglądała na zniesmaczoną.

W końcu jej lokal cieszył się reputacją ulubionego miejsca spotkań zakochanych par. Harry z zakłopotaniem spojrział na Lisę. Zaskoczony dostrzegł niezrozumiały smutek na jej twarzy.

— Wyglądasz już dużo lepiej — stwierdziła po chwili, kiedy pani Puddifoot przyniosła filiżanki z herbatą. — Chyba zacząłeś się dobrze wysypiać, prawda?

— Tak. Poszedłem za twoją radą — wyjaśnił Harry i zapanaowała niezręczna cisza. Lisa sączyła herbatę z filiżanki, zerkając co chwilę w kierunku kupidyna. Harry nie mógł się zdobyć na podtrzymanie rozmowy. Gorączkowo rozmyślał o Meropie, która zapewne zaraz opuści gospodę i umknie przed spojrzeniami innych. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, więc niebawem powinna nastąpić jej przemiana. Jeśli za chwilę czegoś nie wymyśli, nie będzie mógł się przekonać czy jego podejrzenia są słuszne.

— Liso. Zastanawiałem się w jakim celu udajesz się nocą do Zakazanego Lasu? — zapytał, siłąc się na pozbawiony emocji głos. Zdawał sobie sprawę, że to pytanie zaskoczy i zapewne oburzy jego towarzyszkę. Będzie więc pretekst, aby zakończyć spotkanie.

— Kto ci powiedział, że coś takiego robię? — spytała Lisa pełnym napięcia głosem, odstawiając filiżankę na spodek.

— Widziałem na własne oczy — kontynuował Harry, czując jak drżą mu ręce ukryte pod stołem. — Kilka razy chodziłaś sama. Czasem towarzyszył ci Hagrid. Gdy go o to zapytałem, wpadł w furję.

Lisa pobladła. Wyglądała na wystraszoną i poirytowaną.

— Nie sądziłam, że jesteś taki wścibski, Harry — stwierdziła ochryplym głosem. — To, co robię po pracy to moja prywatna sprawa. Jeśli podejrzewasz, że mogę być wampirem którego szukacie...

— Nie, nie podejrzewam — odrzekł pospiesznie Harry, wi-

dząc że po policzkach Lisy spłynęły łzy. — Po prostu się o ciebie martwię. Tam jest niebezpiecznie!

Lisa zaczęła cała dygotać. Po jej policzkach spłynęły kolejny łzy, aż w końcu zaniosła się płaczem. Głowy wszystkich zwróciły się ku nim. Pani Puddifoot natychmiast zjawiała się obok Harry'ego. Zupełnie jakby wyrosła spod ziemi. Miała kamienną twarz. Zdawała się kipieć ze złości.

— Wszyscy jesteście tacy sami! — warknęła do Harry'ego. — Najpierw naobiecujecie biednym dziewczynom niestworzone cuda. Naopowiadacie swoje plugawe kłamstwa, a potem przypominacie wam, że macie żony, które czekają w domu!

Harry spłonął rumieńcem. Zamurowało go.

— To nie o to chodzi — jęknął, ale pani Puddifoot już go nie słuchała.

— Proszę się stąd wynosić! — burknęła, wskazując mu drzwi i podeszła do Lisy, by otrzeć jej łzy. — Biedna dziecinko. Nabralaś się jak wiele innych.

Harry nie mając odwagi zerknąć w kierunku Lisy, pospiesznie wstał z krzesła. Zarzucił na siebie płaszcz i opuścił herbaciarnię. Czuł potworne wyrzuty sumienia. Lisa nie zasłużyła sobie, aby rozmawiać z nią w ten sposób i traktować ją tak grubiańsko. Niestety nie miał w tej chwili innego wyjścia. Okręcił sobie szal wokół szyi i pędem pobiegł w kierunku gospody Aberfortha Dumbledore'a. Słońce dawno już zaszło, a ciemności rozpełzły się po wiosce. Harry w pośpiechu mijał zaskoczonych przechodniów. Wpadł nawet z impetem na kilku goblinów, którzy rzucili w jego stronę kilka wyrafinowanych epitetów. Kiedy dotarł na miejsce i stanął przed gospodą, z trudem łapał powietrze do płuc. Pchnął drzwi i poczuł jakby bryłki lodu opadły mu na dno żołądka. Meropy i Rity Skeeter już nie było.